

# Elegia dla bidoków

---

*Wspomnienia o rodzinie  
i kulturze w stanie krytycznym*

---

J. D. VANCE

PRZEŁOŻYŁ  
TOMASZ S. GAŁĄZKA

MARGINESY

COPYRIGHT © 2016 BY J.D. Vance. ALL RIGHTS RESERVED

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Tomasz S. Gałązka  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2018

## Wstęp

Nazywam się J.D. Vance, a powinienem chyba zacząć od wyznania: otóż fakt zaistnienia tej książki, którą trzymacie właśnie w rękach, wydaje mi się cokolwiek absurdalny. Już na stronie tytułowej stoi, że to wspomnienia, ale mam ledwie trzydzieści jeden lat i sam pierwszy powiedziałbym, że w życiu nie dokonałem niczego wielkiego, a już na pewno niczego wartego wyciągania od nieznajomych pieniędzy za to, żeby mogli sobie o tym poczytać. Najbardziej bajeranckie z moich osiągnięć, przynajmniej na papierze, to ukończenie prawa na Yale, coś, co trzynastoletni J.D. Vance uznałby za słaby żart. Tyle że co roku dokonuje tej sztuki dwustu ludzi i daję wam słowo, że o żywotach większości z nich wcale nie chcielibyście czytać. Nie jestem senatorem, gubernatorem stanowym ani byłem ministrem. Nie rozkręciłem firmy wartej miliardy ani organizacji pozarządowej, która zmieniła oblicze świata. Mam fajną pracę, układa mi się w małżeństwie, jestem właścicielem wygodnego domu i dwóch zwanych psów.

Nie napisałem więc tej książki dlatego, że dokonałem czegoś nadzwyczajnego. Napisałem ją dlatego, że osiągnąłem coś zupełnie zwyczajnego, co jednak bardzo rzadko

zdarza się dzieciakom, które dorastają w warunkach takich jak ja. Bo ja, wiecie, wychowywałem się w biedzie, w hutniczym miasteczku w Ohio, jednym z wielu w tak zwanym Pasię Rdzy, skąd jak z otwartej rany, od kiedy pamiętam, wyciekały miejsca pracy i nadzieja. Stosunki z rodzicami mam, delikatnie rzecz ujmując, skomplikowane – jedno z nich boryka się z nałogiem niemal tak długo, jak ja żyję. Wychowywali mnie dziadkowie, z których żadne nie dorobiło się nawet matury, zresztą wśród wszystkich krewnych i powinowatych znalazłoby się raptem parę osób, które poszły na studia. Statystyka powie wam, że takim dzieciom kroi się ponura przyszłość – jeśli im się poszczęści, nie skończą na socjalu, a jeśli będą mieli pecha, umrą, przedawkowawszy heroinę, jak skończyły dziesiątki ludzi z mojego rodzinnego miasteczka tylko w minionym roku.

Byłem jednym z tych dzieciaków z ponurą przyszłością. O włos uniknąłem uwalenia liceum. Mało brakowało, a uległbym zapiekłym urazom i gniewowi, które żywili wszyscy wokół. Teraz ludzie patrzą na mnie, na moją pracę, dyplom prestiżowej uczelni i myślą sobie, że jestem jakimś geniuszem, że tylko naprawdę nadzwyczajny człowiek dopiąłby tego, co dziś mam. Z całym należnym im szacunkiem sędzę, że ta opinia to srogie pierdolenie. Może i mam jakieś talenty, ale niemal wszystkie roztrwoiłem, zanim zostałem ocalony przez grupkę kochających osób.

To właśnie prawdziwa historia mojego życia, a także powód, dla którego napisałem tę książkę. Chcę, żeby inni dowiedzieli się, jakie to uczucie, kiedy człowiek już prawie jest gotów sam siebie skreślić i co może go do tego skłonić. Chcę, żeby pojęli to, co dzieje się w życiach ludzi biednych,

i psychologiczne konsekwencje ubóstwa materialnego oraz duchowego dla ich dzieci. Chcę, żeby ludzie zrozumieli amerykański sen – taki, jakiego doświadczyłem ja i moja rodzina. Chcę, żeby pojęli, co naprawdę oznacza awans społeczny. Chcę też, żeby uświadomili sobie to, czego sam nauczyłem się dopiero niedawno: że nawet ci z nas, którym poszczęściło się żyć w amerykańskim śnie, wciąż są ścigani przez upiory życia, które za sobą pozostawili.

W tle mojej opowieści kryje się aspekt etniczny. W naszym społeczeństwie, wrażliwym na kwestie rasowe, słownictwo często dociera nie głębiej niż do koloru ludzkiej skóry: „czarni”, „Azjaci”, „przywilej bieli”. Te szerokie kategorie bywają przydatne, ale żeby zrozumieć moją historię, trzeba przyrzeć się szczegółom. Może i jestem biały, ale nie utożsamiam się z anglosaską protestancką elitą ze stanów północnego wschodu. Nie, moi pobratymcy to miliony białych Amerykanów wywodzących się ze Szkoto-Irlandczyków, robotnicy bez wyższego wykształcenia. Dla nich bieda to rodzinna tradycja – ich przodkowie byli najmitami w czasach, gdy gospodarka na Południu opierała się na niewolnictwie, potem połownikami, później kopali węgiel, a w nieodległej przeszłości pracowali w hutach i fabrykach maszyn. Amerykanie mówią na nich: *hillbillies* (bidoki), *rednecks* (buraki), białe śmiecie. Dla mnie to przyjaciele, sąsiedzi, rodzina.

Szkoto-Irlandczycy to jedna z najbardziej wyrazistych podgrup społecznych w Stanach. Jak odnotował jeden z obserwatorów tych ludzi: „Podczas moich wędrówek po Ameryce Szkoto-Irlandczycy permanentnie ryli mi mózg jako subkultura regionalna tak uporczywa i niezmienna, że ze świecą szukać drugiej takiej. Ich struktury rodzinne, religia,

polityka, życie społeczne – wszystko zachowało się bez zmian, w odróżnieniu od masowego odrzucenia tradycji, do którego doszło wszędzie indziej”\*. To wyraźne przywiązanie do tradycji kulturalnej pociąga za sobą wiele cech korzystnych – silne poczucie lojalności, gorące oddanie rodzinie i ojczyźnie – ale i niejedną złą. Nie lubimy przybyszów ani ludzi odmiennych od nas, nieważne, czy różnica polega na wyglądzie, zachowaniu czy też, co najważniejsze, sposobie mówienia. Żeby mnie zrozumieć, musicie pojąć, że ja także w sercu jestem Szkoto-Irlandczykiem.

Jeśli tożsamość etniczna stanowi jedną stronę medalu, drugą jest geografia. Kiedy pierwsza fala protestanckich imigrantów z Irlandii przybyła do Nowego Świata w XVIII wieku, silnie wabiły ich Appalachy. Owszem, to olbrzymi region – ciągnie się od Alabamy i Georgii na południu przez Ohio po część stanu Nowy Jork na północy – jednak kulturowo Appalachy i ich pogórza są zaskakująco spójne. Moi krewni, mieszkańcy gór we wschodnim Kentucky, sami siebie określają jako *hillbillies*, ale Hank Williams junior, urodzony w Luizjanie mieszkaniec Alabamy, w hymnie białych wieśniaków *A Country Boy Can Survive* [Wsiowy chłopak przetrzyma] również tak siebie nazwał. To właśnie fakt, że ten rejon przeniósł poparcie z Partii Demokratycznej na Republikańską, zmienił reguły amerykańskiej gry politycznej po erze Nixona. I to właśnie w szeroko rozumianych Appalachach przyszłość białej klasy robotniczej jawi się najmniej

\* Razib Khan, *The Scots-Irish as Indigenous People*, „Discover”, 22 lipca 2012, [blogs.discovermagazine.com/gnyp/2012/07/the-scots-irish-as-indigenous-people/](https://blogs.discovermagazine.com/gnyp/2012/07/the-scots-irish-as-indigenous-people/), dostęp: 25 sierpnia 2017.

ciekawie. Od nikłych możliwości awansu społecznego przez biedę po rozwody i narkomanię, moje ojczyście strony to obraz nędzy i rozpacz.

Trudno się więc dziwić, że pesymistyczna z nas zgraja. Bardziej zaskakuje fakt, że według badań opinii publicznej biała część klasy robotniczej to najbardziej pesymistyczna warstwa w Stanach. Przerastamy pesymizmem emigrantów z krajów latynoskich, spośród których wielu cierpi niewyobrażalną nędzę. Czarnych Amerykanów również, choć ich szanse na dorobienie się wciąż nie dorównują tym, jakie mają biali. Choć rzeczywistość uprawnia pewną dawkę cynizmu, fakt, że bidoki mojego pokroju patrzą na przyszłość z mniejszą nadzieją niż wiele innych grup społecznych – wśród których są i te ewidentnie stojące znacznie gorzej – sugerowałby, że chodzi tu o coś innego.

I tak właśnie jest. Społecznie jesteśmy odizolowani bardziej niż kiedykolwiek przedtem i przekazujemy tę odrębność naszym dzieciom. Zmieniła się nasza religijność – skupia się teraz wokół Kościołów silnych emocjonalną retoryką, ale nieskorych do budowania wsparcia społecznego tego rodzaju, którego potrzebują ubogie dzieci, żeby do czegoś dojść. Wielu z nas nie należy już do puli siły roboczej czy też odmówiło przeprowadzki w okolice, gdzie są lepsze szanse na dobrą pracę. Naszych mężczyzn dotknęła szczególna postać kryzysu męskości, w którym okazało się, że część cech wpajanych w naszej kulturze wręcz utrudnia osiągnięcie sukcesu w zmieniającym się świecie.

Gdy mówię o niedolach swoich pobratymców, często słyszę w odpowiedzi wyjaśnienie mniej więcej tej treści: „No pewnie, J.D., że dla białej klasy robotniczej perspektywy się

pogorszyły, ale stawiasz tu wóz przed koniem. Jest wśród nich więcej rozwodów, mniej małżeństw, doświadczają mniej szczęścia, bo ubyło tego, co gospodarka ma im do zaoferowania. Gdyby tylko mieli lepszy dostęp do zatrudnienia, poprawiłoby się także w innych aspektach ich życia”.

Kiedyś sam w to wierzyłem, za młodu wręcz rozpaczliwie pragnąłem w to wierzyć. Bo jest w tym pewien sens. Bezrobocie stresuje, tym bardziej gdy brakuje już pieniędzy na utrzymanie. Kiedy doszło do implozji przemysłowego centrum produkcji na Środkowym Zachodzie, biała klasa robotnicza straciła i bezpieczeństwo ekonomiczne, i wynikającą zeń domową oraz rodzinną stabilność.

Doświadczenie bywa jednak niełatwym nauczycielem, mnie zaś nauczyło, że owa historia braku ekonomicznego bezpieczeństwa jest w najlepszym razie niekompletna. Parę lat temu, w wakacje przed rozpoczęciem studiów prawniczych na Yale, rozglądałem się za pracą na cały etat, żeby mieć za co przeprowadzić się do New Haven w stanie Connecticut. Przyjaciel rodziny zaproponował robotę u siebie, w średniej wielkości hurtowni gresu w pobliżu mojego rodzinnego miasteczka. Gres to bardzo ciężki towar: każda płytką waży od kilo trzydzieści do dwóch i pół kilograma, a z reguły pakuje się je w paczki po osiem lub dwanaście sztuk. Moim głównym zadaniem było ładowanie płytek na palety i przygotowywanie palet do ekspedycji. Niełatwa robota, ale płacili trzysta dolarów za godzinę, a że potrzebowałem pieniędzy, wziąłem tę pracę, pisząc się na tyle nocek i nadgodzin, ile tylko dałem radę.

W hurtowni pracowało raptem parunastu ludzi, większość z nich już od wielu lat. Jeden ciągnął dwa etaty, ale



nie z konieczności – praca w hurtowni gresu pozwalała mu spełnić marzenie o pilotowaniu samolotu. Trzydzieście dolarów za godzinę to w naszym miasteczku dobra stawka dla samotnego faceta (wynajem porządnego mieszkania kosztuje miesięcznie około pięciuset dolarów), a pracownicy hurtowni regularnie dostawali też podwyżki. Każdy, kto przepracował tam parę lat, zarabiał już co najmniej szesnaście dolarów na godzinę, i to mimo kryzysu ekonomicznego, co oznaczało, że rocznie inkasowali trzydzieści dwa tysiące, co nawet dla żywicieli rodzin było dochodem znacznie wykraczającym ponad biedowanie. Mimo tej względnie stabilnej sytuacji szefowie przekonali się, że nie sposób znaleźć na moje miejsce w magazynie pracownika na długi termin. Kiedy stamtąd odchodziłem, w magazynie pracowało już trzech ludzi – ja, dwudziestosześcioletek, byłem z nich zdecydowanie najstarszy.

Jeden, nazwijmy go: Bob, podjął robotę w magazynie parę miesięcy przede mną. Miał dziewiętnaście lat i dziewczynę w ciąży. Kierownik z dobroci serca zaproponował jej pracę w biurze, przy odbieraniu telefonów. Oboje byli fatalnymi pracownikami. Ona opuszczała mniej więcej co trzeci dzień, zawsze bez zapowiedzi. Choć wiele razy uprzedzano ją, że powinna zmienić swoje podejście, wytrzymała tam góra parę miesięcy. Bob nie przychodził do firmy średnio raz w tygodniu, notorycznie też się spóźniał. Na dobitkę często zdarzało mu się wybywać do toalety trzy albo i cztery razy w ciągu dnia, za każdym razem na ponad pół godziny. Było to już tak dokuczliwe, że pod koniec mojego zatrudnienia w tym miejscu wraz z drugim kolegą zrobiliśmy sobie z tego zabawę: uruchamialiśmy stoper i wykrzykiwaliśmy kolejne

przekroczone etapy na cały magazyn: „Trzydzieści pięć minut!”, „Czterdzieści pięć minut!”, „Godzina!”.

W końcu i Bob wyleciał z roboty. Gdy do tego doszło, wydarł się na swojego kierownika: „Jak mogłeś mi to zrobić! Przecież wiesz, że mam dziewczynę w ciąży!”. I nie był to odosobniony przypadek: przez tych parę miesięcy, które przepracowałem w magazynie, jeszcze przynajmniej dwóch innych ludzi rzuciło pracę lub zostało z niej zwolnionych, w tym kuzyn Boba.

Nie można ignorować takich sytuacji, kiedy chce się mówić o równości szans. Nobliści z dziedziny ekonomii zamartwiają się o upadek ośrodków przemysłowych Środkowego Zachodu, o to, że gospodarcze podstawy bytu białej klasy robotniczej runęły. Chodzi im o to, że produkcja wyprowadziła się do obcych krajów, a pracę dla klasy średniej coraz trudniej zdobyć bez dyplomu ukończenia studiów. I prawidłowo, mnie również to niepokoi. W tej książce mówię jednak o czym innym: o tym, co dzieje się w życiu prawdziwych ludzi, kiedy gospodarka przemysłowa idzie do piachu. Mówię o reagowaniu na niekorzystne okoliczności w najgorszy możliwy sposób. Mówię o kulturze, która coraz silniej napędza rozpad społeczeństwa, zamiast mu przeciwdziałać.

Korzenie problemów, które dostrzegłem w hurtowni gresu, sięgają znacznie głębiej niż tylko do trendów makroekonomicznych czy polityki. Zbyt wielu młodych ludzi jest odpornych na ciężką robotę. Dobre posady stoją otworem, bo nie ma chętnych, by je podjąć na dłużej. A młody chłopak, który ma wszelkie powody, by wziąć się do pracy – utrzymanie przysłej żony, dziecko w drodze – beztrząsco odpuszcza sobie dobrze płatną robotę ze świetnym ubezpieczeniem

medycznym. Co bardziej niepokojące, kiedy ją traci, uważa, że to on został skrzywdzony. Widać tu brak chęci: poczucie, że ma się nad własnym życiem niewielką kontrolę, jak też skłonność do obwiniania wszystkich, tylko nie siebie. To coś, co odstaje od ogólnego krajobrazu gospodarczego dzisiejszej Ameryki.

Należy zauważyć, że choć skupiam się na znanej sobie grupie ludzi – przedstawicielach białej klasy robotniczej z rodzinnymi więzami w Appalachach – nie twierdzę, że należy się nam więcej współczucia niż innym. To nie jest opowieść o tym, dlaczego biali mają więcej powodów do narzekania niż czarni czy ktokolwiek inny. Mimo to mam nadzieję, że czytelnicy tej książki zdołają wyciągnąć z niej wnioski co do wpływów klasowych i rodzinnych na biedotę, nie patrząc na to przez filtr rasy. Wielu analitykom określenia typu „królowa socjalu” niesprawiedliwie przywołują obraz leniwej, czarnoskórej matki żyjącej z zasiłków. Czytelnicy tej książki szybko uświadomią sobie, że ta zjawia ma niewiele wspólnego z tym, co chcę przekazać. Znałem wiele wózek, królowych socjalu: niektóre mieszkały niedaleko mnie, wszystkie były białe.

Ta książka nie jest akademicką monografią. W ciągu ostatnich paru lat William Julius Wilson, Charles Murray, Robert Putnam i Raj Chetty napisali przekonujące, dobrze uargumentowane prace, które wskazują, że w latach siedemdziesiątych minionego wieku szanse na awans społeczny mocno spadły i właściwie ten stan rzeczy nie poprawił się, że niektóre regiony radzą sobie znacznie gorzej niż inne (niespodzianka – Appalachee i cały Pas Rdzy tu wypadły źle), a wiele ze zjawisk, które zauważyłem we własnym życiu,

dotyka szerszych kręgów społeczeństwa. Mogę mieć pewne zastrzeżenia do niektórych wniosków, które wyciągają ci badacze, niemniej przekonująco dowiedli oni, że Ameryka ma poważny problem. Choć będę korzystał z danych statystycznych, czasem też, by podkreślić własną tezę, opieram się na publikacjach akademickich, moim głównym celem nie jest przekonanie was o istnieniu już udokumentowanego problemu. Zamierzam przede wszystkim opowiedzieć o tym, jak to jest, kiedy człowiek rodzi się z tym problemem wiszącym mu u szyi.

Nie potrafiłbym przedstawić tej opowieści bez odwoływania się do całej obsady mojego życia. Są to zatem nie tylko osobiste wspomnienia, ale też historia rodziny – historia szans i awansu społecznego, widziana oczami grupy bidoków z Appalachów. Dwa pokolenia temu mój dziadek i babcia byli biedni jak myszy kościelne, ale zakochani. Pobrali się więc i wyjechali na północ z nadzieją, że wyrwą się z otaczającej ich potwornej nędzy. Ich wnuk (ja) ukończył studia na jednym z najlepszych uniwersytetów świata. Tyle w skrócie. Pełną wersję znajdziecie na następnych stronach.

Choć czasem zmieniam nazwiska niektórych osób, by chronić ich prywatność, opowieść ta jest, na ile mogę wierzyć własnej pamięci, w pełni dokładnym portretem świata, jaki dane mi było poznać. Nie ma tu postaci zlepionych z kilku osób, nie ma narracyjnego chodzenia na skrót. Gdzie mogłem, weryfikowałem szczegóły na podstawie innych materiałów – świadectw szkolnych, odręcznych listów, zapisków na rewersach fotografii; jestem jednak pewien, że ta historia jest równie ułomna jak ludzka pamięć. W rzeczy samej, kiedy poprosiłem siostrę, by przeczytała jedną z jej

wcześniejszych wersji, lektura ta roznieciła półgodzinną rozmowę o tym, czy czasem nie datowałem błędnie jednego z wydarzeń. Pozostałem przy swojej wersji nie dlatego, że powątpiewam w sprawność pamięci siostry (prawdę mówiąc, sądzę, że jej pamięć jest lepsza od mojej), lecz dlatego, że uważam, iż to, jak poukładałem sobie w głowie kolejność zajęć, także może czegoś nauczyć.

Nie jestem też bezstronnym obserwatorem. Niemal każda osoba, o której tu przeczytacie, ma głębokie skazy. Niektórzy próbowali zamordować innych ludzi, paru się to powiodło. Niektórzy poniewierali swoimi dziećmi, krzywdząc je fizycznie lub emocjonalnie. Wielu uległo (i wciąż ulega) narkotykom. Kocham ich jednak, nawet tych, z którymi w obawie o zdrowie psychiczne staram się nie rozmawiać. A jeśli zostawię was z odczuciem, że w moim życiu trafili się źli ludzie, to przepraszam bardzo i was, i tych, których tak odmalowałem. W tej opowieści nie ma bowiem postaci negatywnych. To po prostu luźna gromada bidoków usiłujących odnaleźć właściwą drogę – dla własnego dobra, jak też, z Bożej łaski, dla mojego.